

# Kronika tygodniowa.

Ulegając ogólnemu prądowi, jaki u nas od chwili wybuchu wojny można zauważyć, chciałem i w dalszym ciągu karmić Szanownych Czytelników okropnościami wojennymi. Niestety, sprawdziło się i na mnie stare przysłowie: „Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”.

Miałem znów przygotowaną całą seryę najokropniejszych okropności, o których słyszałem na własne uszy i czytałem na własne oczy, tymczasem w ciągu ubiegłego tygodnia nadesłano mi cały stos listów i kartek, polowych i niepolowych, w których Czytelnicy zaklinają mnie na wszystkie świętości, nawet na mą miłość do teściowych, hymn temu tematowi dał już spokój. I mają po części rację. Którą gazetę otworzysz, czytasz tam o samych okropnościach, niech więc bodaj „Nowości Ilustrowane” stanowią wyjątek.

Jeden z interpelantów pisze:

„Panie! Czy wiesz Pan co to jest okropność? (Może miał na myśli parasol?... przyp. zecera). Jeśli Pan nie wie, to ja Panu powiem! Okropnością jest, jeśli człowiek w nocy zasnąć nie może, a jest to właśnie następstwem czytania tych okropności, o jakich ciągle piszecie! Wczoraj cały dzień chodziły mi po głowie burmistrzowskie buty, dziś w nocy, aż ciarki mnie przechodzą na samo wspomnienie, śniło mi się, że rozmawiam z całkiem żywym nieboszczykiem.

A kto temu winien?... Nikt, tylko Pan, razem ze swymi okropnościami!

I ciekawy jestem, dlaczego ja mam cierpieć, ja, który jestem od lat dziesięciu prenumeratorem „Nowości”, a z prenumeratą nigdy nie zalegałem, w bieżącym roku zaś, wiedząc o tem, na jakie Redakcja narażoną jest wydatki, zapłaciłem nawet z góry za cały rok!

Czy dużo takich macie? (Ho! ho! Na kopy się ich liczył... przyp. zecera).

Jeśli więc masz Pan Boga w sercu, daj spokój tym okropnościom, pisz, co Ci się podoba, byle wesoło, bo smutków i tak dość na świecie”.

Przyznaję zupełną słuszność powyższemu wywodom, a ponieważ jestem już taki od samego urodzenia, iż lubię wszystkim razem i każdemu z osobna iść na rękę, postanowiłem dzisiejszą kronikę poświęcić nie okropnościom, ale rozmaitościom.

Pisać więc będę *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, cierpię bowiem na wątrobę, czy to jednak będzie wesoło, nie wiem, bo ona, jak zapewniają nasze powagi lekarskie, stoi w ścisłym związku z humorem i bardzo silnie nań oddziaływa.

Wiem, że w ten sposób nie zadowolnię wszystkich, bo nie tak to dawno, jak zapewniała mnie jedna z dojrzalszych pańienek (przekroczyła już, powiem w sekrecie, pięćdziesiątkę), iż moje kroniki podobałyby się może, gdyby bardziej oczekiwały kwiata...

— Moim ideałem — mówiła — jest powieść, w której ostatni m tomie bohater dusi swą kochankę i jej całą rodzinę, potem wiesz się w przystępie rozpacz, a wszyscy inni topią się w głębokim stawie!... Tak piszcie, to będzie zajmujące.

Niestety, ja do krwi czuję wstręt, nie lubię nawet krwawych kiszek, choć moja żona twierdzi, że są bardzo smaczne i zdrowe, a ona, jak ogólnie wiadomo, ma przecież zawsze rację!

Ba, ale w takim razie o czym pisać? Dziś brak człowiekowi natchnienia, zwłaszcza, że ulegając konieczności, trzeba bawić się w porządnego człowieka i o dziesiątej sunąć w domowe progi, gdzie czeka na cię rozradowana magnifika i zirytowany stróż, który, jak sam powiada, od czasu wybuchu wojny i szóstki za „szperę” nie zarobił!

Biedni oni! Słyszałem, iż mają podobno zamiar wnieść petycję do kogo należy, by, albo zamykano lokale publiczne dopiero o jedenastej, lub też pozwolono pobierać ów podatek, zwany „szperą” już od ósmej wieczór. Tak mi przynajmniej oświadczył mój stróż Walenty.

Tak! O dziesiątej musisz już być w domu, bo chyba nie znajdzie się amator, któryby chciał używać świeżego powietrza po błocie!... A cóż robić w domu, gdy się spać nie chce, zwłaszcza, jeżeli przyzwyczaiłeś się rzucać w objęcia Morfeusza dopiero koło północy?... Nie pozostaje nic innego, tylko, albo wdać się w rozmowę z rodziną, lub sięść spokojnie i zacząć co czytać.

Ale i jedno złe i drugie niedobre.

Zapytaj, ot tak ze żartu, co słychać nowego, — a tu zaraz, jakby na wyścigi, zacznie i żona i córki opowiadać, że widziały sędzinę, jaki ma kapelusz, zakiet, suknię, o mało, że nie zaglądały, czy nosi

halkę, pończochy i t. d. A jedna stara się drugą przekrzyknąć, nie rozumiesz więc z tego ani słowa.

Gdy cię to znudzi, zaczęła z innej beczki. Do-wiesz się, jeśliś naturalnie ciekawy, co który ze sąsiadów jadł na obiad, a co na kolację, o czym mówiła służąca z pierwszego piętra z frontu, o czym zaś jej koleżanka z oficyny. Słowem, poczta pantoflowa funkcjonuje znakomicie i życzyliby sobie należało, by nasza, cesarsko-królewska, wstępowała w jej ślady.

Te babskie gadania tak cię wreszcie zmęczą, że, sam nie wiedząc kiedy, zaśniesz snem sprawiedliwego, fraucymer zaś, nic sobie z tego nie robiąc, trąkocze dalej, kontent, że nikt mu nie przeszkadza.

Jeszcze gorzej, jeśli nie lubią plotek, usuniesz się do swego pokoju i tam siadłszy, zabierzesz się n. p. do czytania. Jest to przyzwyczajenie bardzo niezdrowe, jak bowiem czytałem w jednym z listów, zamieszczonych w bardzo poważnym organie: „z sieczenia boli głowa”...

Hm!... Gdzie Rzym, gdzie Krym?... Co właściwie wspólnego może mieć głowa z siedzeniem, skoro już w normalnej uczono nas, że do tego celu przeznaczoną jest zupełnie inna część ciała. Chyba, że się to zmieniło, czyli, że nastąpiły u nas amerykańskie zwyczaje, bo tam, jeśli mamy wierzyć opowiadaniom, podobno ludzie chodzą do góry nogami... Dla uspokojenia starych, moralnych pańien, dodam jednak, że tylko mężczyźni!...

Wybierając jednak z dwójga złego, wybrałem mniejsze i od dwu prawie miesięcy urządzam co wieczór rekolekcje w swym pokoju, studiując zawzięcie wszystko, co mi drukowanego pod rękę wpadnie. Małżonka moja kpi sobie wprowadzie ze mnie od czasu do czasu i powiada z przekąsem:

— A co?... Przecież i wojna może się zdać na co! Czy byłbyś taki porządny, gdyby nie rozkaz komendy, by zamykać wczas restauracje i kawiarnie?

Ja, nie chcąc ustępować, powiadam:

— No! Gdybym chciał, znalazłbym miejsce, gdzie się można zabawić... Wszak istnieją kluby, resursa...

— Tak! Ale ponieważ nie grywasz w karty, tam cię nie ciągnie. W krajpce jednak, to mógłbyś nawet nocować!

— Trudna rada! Widocznie karmiono mnie flaszeczką i dlatego tak przyzwyczaiłem się do szkła, iż się bez niego obejść nie potrafię!

Niechaj jednak nikt nie myśli, że zajmuję się lekturą polityczną. Broń Boże! Do polityki czuję wstręt i to także od urodzenia, zwłaszcza, że jak mi powiadają, już wówczas nieraz miałem do czynienia z żółtem niebezpieczeństwem, które i teraz Europie tak zagraża, że nawet Portugalia nie może, choćby przerwała swą neutralność.

Mnie zajmują artykuły treści ogólnej, ot, n. p. tego rodzaju, jak „Amerykańskie dziennikarstwo w czasie wojny obecnej”.

Bardzo mi przypadł do gustu, zwłaszcza, że to, co gada tam Amerykanin, może i każdy z nas, zajmujący się dziennikarstwem, z czystym sercem powtórzyć! Ludziom się zdaje, że na wojnie robią wydawcy brylantowe interesy, a tymczasem tak nie jest! Jeszcze dziennik, wydający w dwudziestu czterech godzinach kilka nadzwyczajnych dodatków, skoro tylko nadejdzie jakiś ciekawy telegram, wiąże jeszcze jako tako koniec z końcem, zato tygodnik... pożałuj Boże! Lepiej cicho siedzieć!

Papier zdrożał, cynku brak, współpracownicy każą sobie więcej płacić, a tu cena prenumeraty ta sama, a odpadły ogłoszenia, które w budżecie administracji stanowią rubrykę bardzo pokazną...

Zechce może kto powiedzieć, że zato liczba czytelników wzrosła, bo każdy ciekawy, co w świecie słychać nowego. Powiem: zgoda!... ale dodam, że tylko takich, którzy lubią czytać, ale *gratis*! Ilu masz znajomych, każdy cię prosi, czyby nie mógł otrzymać bezpłatnie numeru, bo to teraz ciężkie czasy i na prenumeratę nie stać. Odpowiesz, że nie, masz już wroga, który, spotkawszy się ze znajomymi, powie im, że twoje pismo schodzi na psy.

Znam panów kamienicznych, adwokatów, urzędników ze złotymi kolnierzami i t. p., którzy chodzą od handlu do handlu, prosząc znajomych o pożyczanie, bodaj na minutkę gazety.

Tu bombka, tam bombka, na to są pieniądze, bo trzeba popierać przemysł krajowy (racja!... z akcyzy ma dochód i miastol... przyp. zecera), na „bibułę” zaś wydawać szkoda!

A potem dziwią się ludzie, że dziennikarze i literaci chodzą bez butów i przyświecają narodowi, ale... wytartymi rękawami!

Tak jest w Ameryce, tak samo i w Europie, z tą jednak małą różnicą, iż amerykańscy, a tu i ówdzie i europejscy dziennikarze, to panowie, a nasi, polscy, przeważnie dziadowody.

Wszak nie tak to dawne czasy, gdy jeden z dzien-

nikarzy i to o nazwisku znanem, starał się o rękę córki któregoś z krakowskich mieszczan, nie pomnę już wołoboją, męczybułą, czy innego jakiegoś fachu. Papa dobrodziej, wysłuchawszy uważnie, zapytał konkurenta:

— A łaskawy pan czym jest właściwie?

— Dziennikarzem i literatem! — odparł tenże z dumą, pewny, że tem zaimponuje.

— Literatą? — powtórzył — A cóż to jest?

— No! Piszę książki, artykuły...

— Hm! To, niby, taki sobie, panie bzdzieju, skrobipiórek! Nie, panie! Za „bele kogo” córki swej nie wydam! To dziecko z obywatelskiego domu!

Dla ścisłości dodam, że petent pochodził z rodziny senatorskiej i dla kraju zasłużonej!

A takich dowodów uznania spotykamy dość na każdym kroku...

Drugi artykuł, który również mnie bardzo zajął, nosi tytuł: „Koszta wojny europejskiej”.

Narzekamy ciągle na biedę i na brak pieniędzy, tymczasem widzimy, że nie mamy racji, bo monety jest dość, skoro wystarczy na prowadzenie wojny.

Bałem się, czytając, by mnie naprawdę nie rozboleła głowa, ale nie z siedzenia, lecz z ogromu sum, jakie dotąd złożyliśmy na ołtarzu Marsa (ale nie tego z Limanowy... przyp. zecera) i Bellony.

Według pobieżnych obliczeń jakiegoś angielskiego (aha! pewnie za młodu chorował na angielską chorobę!... przyp. zecera) ekonomisty, przez pierwszych sześć miesięcy wojny wydano ogółem około, a nawet więcej, niż czterdzieści miliardów koron, nie licząc w to kosztów Turcji, Japonii, Serbii i Czar-nogóry, *eo ipso* i państw neutralnych, które przecież także się na gwałt zbroili!

Ładna sumka, ale „kto to bude platit?”, jak powiada jeden mój znajomy, Czech z rodu.

W każdym razie konstatuję, że wojna już mi się sprzykrzyła najzupełniej i radbym bardzo, by się już raz skończyła, by nastąpiły te dawne, dobre czasy, kiedy to można było siedzieć spokojnie przy bombce bodaj do północy... Chyba, że babę lichu nadniosło! Ale trudno, to już *vis major*! Zamyślam nawet zacząć szturmować do zarządu „Ligi pokojowej”, nie wiem jednak, do kogo się zwrócić, pani Berta Suttner bowiem już zmarła, a adresu pani Chwatowej nie znam, chciałbym zaś, by, miast wodzenia się za łby, nastał czas ogólnej miłości, o którym powiada poeta, że:

„Kocha pies kanarka,  
Kanarek niedźwiedzia,  
Niedźwiedź salamandry,  
Salamandra śledzia!” ..

I zdaje się, że rzeczywiście już nadchodzi, a taką jaskółką pokojową (w poprzednim numerze była gołębicą... przyp. zecera) jest podróż rosyjskiego ministra skarbu, Barka, który wybrał się rzemiennym dyszlem „na wander” po Europie, jak powiadają, po kweście. *Via* Rumunia jedzie do Sofii, a następnie do Paryża i Londynu, aby sojusznikom upuścić nieco krwi serdecznej z portmonetki. Z tego widać, że nad Nową brakuje już monety, a wiadomo, że do prowadzenia wojny potrzeba, według słów jakowegoś Montecuccolego, pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

Wobec tego pan Bark pojechał zapukać do serca i kieszeni sprzymierzonych, aby zaś byli wrażliwsi na jego słowa, postarano się o puszczanie w prasie europejskiej wiadomości, że Rosya, o ile nie otrzymałaby pożyczki na koszt wojenne od Anglii i Francji, zmuszoną byłaby zawrzeć pokój na swą rękę.

Ale to już dobry znak, że Rosya jest w kłopotach finansowych, koniec wojny, zdaje się, zbliża się coraz większymi krokami.

Albo, czy nie jest dowodem pokojowego usposobienia ludności, iż w czasach tak krytycznych zajmować się mogą jeszcze takimi głupstwami, jak wynajdywanie nowych tańców?

Czytamy w jednym z pism wiedeńskich, iż nad modrymi (ale nie „mądrymi” Dunajem) przygotowuje się wspaniała produkcja choreograficzna, podczas której zaci Wiedeńscy i wyewakuowani Galicyanie (o ile ich do tego czasu pan Weisskirchner nie wyrzuci!... przyp. zecera), ujrzą cudowny „taniec reju sojuszniczego”, i „walc Vindobony”.

Kto więc ciekawy, niech tam jedzie, o ile go naturalnie puszczą do Wiednia!

Krem do zębów  
**KALODONT**  
Woda do ust.